Krzysztof Piotr Łabenda

Wzgórze Młynarza



Krzysztof Piotr Łabenda
„Wzgórze Młynarza”

Copyright © by Krzysztof Piotr Łabenda, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
Korekta: Paweł Markowski
Ilustracje na okładce: @ scaliger; Marcin Krzyzak – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-357-0

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis rozdziałów

Rozdział I 4
Rozdział II 69
Rozdział III 102
Rozdział IV 119
Rozdział V 142
Rozdział VI 171
Rozdział VII 185
Rozdział VIII 209
Rozdział IX 225

Rozdział I

Listopadowy, dość rzęsisty, choć krótkotrwały deszcz, zdążył nieźle zmoczyć Piotra, nim ten dotarł do bramy budynku przy rue Taitbout. Torby z porannymi zakupami, zawierające wszystko, co było potrzebne do czekającego go śniadania z Małgorzatą, wyraźnie przeszkadzały mu w szybkim wydobyciu kluczy, bo te, zgodnie ze znaną właściwością wszystkich rzeczy martwych, tkwiły złośliwie ukryte gdzieś w zakamarkach kieszeni. Wziąwszy w zęby tę z toreb, która skrywała w swym wnętrzu ciepłe jeszcze rogaliki kupione w pobliskiej piekarni, na tyle uwolnił prawą rękę, że mógł, mimo iż inną z toreb trzymał pod pachą, zanurzyć ją w kieszeni dość obcisłych dżinsów w poszukiwaniu tych nieszczęsnych kluczy. Jego irytacja sięgnęła zenitu, kiedy uświadomił sobie, że ich tam nie ma. Zepchnięte przez portmonetkę w dół drugiej kieszeni, uciskały mu przecież dość boleśnie lewe udo. Z opresji wybawiła go konsjerżka. Zauważywszy jego zmagania, otworzyła ciężkie, przeszkolone drzwi, osadzone w misternie kutej kratownicy żelaznej bramy.

– Trzeba było zadzwonić, profesorze, a nie bezsensownie gmerać po kieszeniach, podskakując przy tym śmiesznie na jednej nodze niczym jakiś kaleki wróbel. Wystarczyłoby tylko użyć głowy. Choćby po to, by przycisnąć czołem dzwonek – gderała. Wyszłabym przecież, tak jak teraz.

– Dziękuję, madame Leduc, nie chciałem pani fatygować.

– Przemókł pan okropnie. Nie zabrał pan parasola?

– Wie pani, myślałem, że skoro to, czego potrzebuję mogę kupić tu niedaleko, w Monoprix i piekarni pani Duchamps, to tak bardzo nie zmoknę, a zresztą gdybym jeszcze musiał trzymać parasol, to już byłaby zupełna katastrofa. Nie mam aż tylu rąk.

– Fakt. Nie przypomina pan zupełnie hinduskiej Kali.

– Miło słyszeć, że dobry humor towarzyszy pani od rana.

Nadjechała przywołana przez Piotra piękna, secesyjna w swoim wystroju, winda. Zasunąwszy kratownicę pierwszych i zamknąwszy drewniane skrzydła drugich drzwi, Bonerski wcisnął guzik, ekspediując stalową, wyłożoną wewnątrz mahoniowym drewnem, pachnącą nieco przepracowaną oliwą i płynem do czyszczenia luster klatkę, na ostatnie piętro kamienicy.

Ustawiwszy pod ścianą swoje zakupy, już bez trudu wydobył z kieszeni klucze i wszedł cichutko do kupionego stosunkowo niedawno mieszkania, z gatunku tych, o których paryżanie mówią „apartament", starając się nie zbudzić śpiącej jeszcze, miał taką nadzieję, Małgorzaty. Wniósłszy torby do kuchni, zajrzał do sypialni. Spała, i to, sądząc z równego, regularnego oddechu – dość głęboko. Z niewypowiedzianą czułością patrzył na jej rude włosy doskonale kontrastujące z bielą atłasowej pościeli, ramiona pokryte drobniutkimi piegami, szyję zaatakowaną już przez delikatne zmarszczki. Tak mało czasu spędzili ze sobą w przeszłości, nim zostali na długie dziesięciolecia rozdzieleni i nim los – profesor Bonerski wierzył w to całym sercem – zwrócił mu przedwczoraj jego ukochaną Gosię.

Zbudził ją zapach świeżo parzonej kawy i ciche pobrzękiwanie naczyń w kuchni. Jeszcze przez parę chwil usiłowała wrócić do przyjemnej krainy snu. Nie otwierała oczu, by światło poranka zbyt brutalnie nie przywróciło jej do rzeczywistości. Otulając kołdrą odkryte i trochę przez to zmarznięte ramiona, chciała powrotu nie tyle fizycznego ciepła, co tego trudno definiowalnego poczucia zadowolenia i spełnienia. Od tak wielu już lat nie leżała naga w łóżku mężczyzny. Teraz, wspominając wczorajszy wieczór i noc z Piotrem, zdała sobie sprawę z tego, że przez całą swoją dorosłość nieumiejętne zarządzała, o ile w ogóle to czyniła, swoim życiem. Jej świat zdominowany był przez ojca – despotycznego, ukrytego alkoholika, zaślepionego ideologią PRL wysokiego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Później, kiedy wyszła za mąż za Joe Perkowsky'ego, syna amerykańskiego dyplomaty poznanego podczas pobytu jej ojca na placówce w Maroku i zamieszkała w Madison w stanie Wisconsin, jej dni pełne były obowiązków domowych, bezsensownego pilnowania rachunków, sztucznych uśmiechów dla przyjaciół nieżyjącego już męża, a wcześniej i dla niego samego. Te obowiązki i powinności wykonywała obok, albo i równolegle, z tym wszystkim, co wiązało się z dbałością, może i przesadną, o Piotrusia, jej ukochanego syna, którego prochy parę dni temu złożyła na cmentarzu Montparnasse.

Leżąc teraz w łóżku Piotra Bonerskiego, swojej młodzieńczej, ale – teraz zaczynała w to wierzyć głęboko – jedynej, prawdziwej miłości, Małgorzata zrozumiała, że świadomie bądź nie, już dawno przestała robić te rzeczy, które stwarzały

szansę, by choć chwilę pomyśleć o sobie. Jakże była w tym, przez te wszystkie lata dorosłego życia, podobna do swojej matki, tak bardzo zdominowanej przez męża, że mając świadomość trawiącej ją choroby, myślała tylko o tym, by nie umrzeć przed nim, obawiając się tego, jak bardzo mogłoby go to zirytować. Ciepłe bagienko codzienności wciągnęło Małgorzatę w swoją otchłań, dając ułudę, że wiedzie pożyteczne, uporządkowane i szczęśliwe życie. W miarę sprawnie poruszała się samochodem po Madison, w którym przyszło jej żyć. Dom – supermarket – salon fryzjersko-kosmetyczny – szkoła Piotrusia – czasem kino czy restauracja, a w niedzielę, za namową męża, ale już po śmierci ojca, kościół. To był cały jej świat. Ten prawdziwy, eksponujący swoje flagi narodowe na licznych masztach ustawionych przed siedzibą World Council of Credit Unions, gdzie pracował jej mąż, dla niej istniał tylko w telewizji. Wrzucona w zbyt wczesne i w sumie niezbyt udane małżeństwo ledwie dotknęła progu tego świata, nigdy go nie przekroczywszy i szybko przestała nawet marzyć o tym, by kiedyś to się stało. Wiecznie zagoniona, zajęta, przygnieciona obowiązkami, z których przynajmniej połowę winni wykonywać inni, zwłaszcza jej bliscy, miała głębokie, choć w istocie rzeczy fałszywe przeświadczenie, że ma do wypełnienia jakąś szczególnie ważną misję. Nawet nie zauważyła, kiedy minęła jej młodość. Ta zaś okazała się być, tak to odczuwała, jednym wielkim oszustwem, czasem, w którym zamiast szalonego, radosnego, nieco rozpasanego „mogę" dane jej było mówić jedynie „trzeba", bądź „muszę". Miała wówczas przeświadczenie, że jakaś niewidzialna siła postawiła ją u stóp góry, której wierzchołek krył się gdzieś

w chmurach i za nic mając jej wolę, nakazała: wspinaj się! Drapała się więc na ten nigdy niezdefiniowany do końca szczyt, popychana uległością wobec despotycznego ojca, konwenansami, których nie rozumiała i w głębi duszy nie tylko że nie chciała zaakceptować, ale i szczerze nienawidziła. W tej wspinaczce siłą napędzającą Małgorzatę była także chęć zapomnienia o Piotrze i tym, co się między nimi wydarzyło tego lata przed jej wyjazdem z Polski, ale też i zduszenia marzenia o tym, co mogłoby się jeszcze między nimi wydarzyć. Ta tkwiąca w niej zadra była wielokrotnie przedmiotem jej bolesnych, ale i w pewien sposób oczyszczających, rozmów z Sarą – jej równie jak Gosia, mimo małżeństwa, samotną i nieszczęśliwą sąsiadką. Teraz, leżąc w łóżku w paryskim mieszkaniu Piotra, wracała myślą do, wówczas tego nie wiedziała, ostatniej ich rozmowy, jaką odbyły ze sobą.

Siedziały wtedy na werandzie domu Arona i Sary. W kubełku, w zimnej jeszcze, mimo ciągle wysokiej temperatury, jaką dawało się odczuć pod koniec upalnego dnia, wodzie, jaka powstała po roztopieniu się lodu, tkwiła, niczym boja na spokojnej tafli oceanu, pusta butelka. Doskonałe chablis, jakie popijały przyjaciółki, właśnie się skończyło. Ciepło wczesnego wieczoru i wypity alkohol sprawiały, że atmosfera stała się nieco senna, rozleniwiająca, ale i przesycona jakimś trudnym do określenia pierwiastkiem. Między obiema kobietami pojawiło się lekkie, dość przyjemne napięcie. Sara wyraźnie czuła, że jeszcze chwila i wydarzy się coś niezwykłego. Doskonale wiedziała, co powinno się stać, czego oczekiwała i chciałaby, by się wydarzyło. Potrzebny był jej tylko katalizator, coś, co wyzwoliłoby tę instynktownie

oczekiwaną reakcję. Małgorzata, nieco senna, rozleniwiona wypitym winem, wiła sobie wygodne gniazdko, wciskając się w miękkie, patchworkowe poduszki szczodrze rzucone przez gospodynię tego spotkania na twarde deski białej ławki, na której siedziały. Rozsiadła się w jej rogu, podwinąwszy pod siebie smukłe, doskonale opalone i ciągle bardzo zgrabne nogi tak, by móc nieco swobodniej, bez konieczności nieustannego odwracania głowy, spoglądać na przyjaciółkę. Ta zaś wstała, przeciągnęła się niczym zadowolona kotka i bosa ruszyła w kierunku domu. Delikatna, letnia, kwiecista, zwiewna sukienka na cienkich ramiączkach doskonale podkreślała lekkość, z jaką poruszała się Sara.

Małgorzata, patrząc na oddalającą się w kierunku domu przyjaciółkę, nagle przypomniała sobie czytane przed laty strofy Przybosia: *krokiem tak zalotnie lekkim jakbyś wiodła ptaszka na promieniu...* Jakieś dziwne, trudne do zdefiniowania wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

– Jeśli jest tak, jak przypuszczam, że między Sarą, a jej mężem nie ma już rzeczywiście żadnej intymności, to Aron jest wyjątkowym idiotą – pomyślała. Nie znam drugiej dojrzałej kobiety, która by tak wręcz kipiała seksem.

Gospodyni domu wróciła po chwili z kolejną, dobrze schłodzoną butelką wina i lodem wypełniającym spory kubek. Grzechot lodowych kostek wrzucanych do kubełka i cichy wystrzał korka przy otwarciu butelki spłoszyły tę odrobinę melancholii, jaka właśnie usiłowała zawładnąć myślami Małgorzaty.

– To wszystko nie ma żadnego sensu – mówiła Sara, napełniając kieliszki dopiero co przyniesionym winem.

– Po jaką cholerę wyszłyśmy za mąż bez jakiegoś sensownego okresu próbnego? Ta niesamowita presja rodziny, znajomych. Bierzesz sobie faceta za męża, bo wydaje ci się, że go kochasz, a na dodatek nadszedł, wiesz to doskonale, ten czas, kiedy zaczynają mówić o tobie per „stara panna", a starych panien lokalna, kołtuńska społeczność nie toleruje. Madison to w gruncie rzeczy, jak większość stolic stanowych, straszliwa, prowincjonalna dziura.

– Masz rację, choć w moim przypadku małżeństwo to było w dużej mierze tchórzostwo, brak odwagi, by sprzeciwić się ojcu. Miałam przecież, wychodząc za Joe, niespełna dwadzieścia lat.

– To jeszcze gorzej. Nie wiem jak ty, ale ja duszę się w tym cholernej dziurze, w otoczeniu tych wszystkich pustych, zakłamanych ludzi. Nie masz, według nich, prawa do bycia singielką. Nie masz prawa do zmiany partnerów, bo okrzykną cię dziwką, choć facetom wolno zmieniać panienki. Nie masz prawa do wibratora, bo jeśli go u ciebie odkryją, to okrzykną cię zboczoną rozpustnicą. Nikogo z tych zakłamanych, świętoszkowatych na pokaz indywiduów, tworzących lokalny grajdoł, przecież nie obchodzi, że już dawno przestałaś, prawdę mówiąc nie wiadomo z jakiego powodu, pociągać tego faceta, który bałagani ci w domu, ma wiecznie o coś pretensje i zdecydowanie woli towarzystwo kumpli z kręgielni niż ciebie. Ich zdaniem, jako żona i matka nie masz prawa do marzeń, pragnień, a twoja seksualność, w przeciwieństwie do tej, jaką mają faceci, nie istnieje. Jesteś co najwyżej kimś w rodzaju osoby, by nie powiedzieć lepszego modelu lalki z sex-shopu, do rozładowywania jego napięć. On musi mieć

wszystko lub prawie wszystko. Twoje prawa są z gatunku tych mikrych. Faceci twierdzą, a otoczenie ich w tym umacnia, że jeśli z czasem dojdą do wniosku, że już nie mogą, z twojej oczywiście winy, otworzyć się, wygadać przed tobą, to są usprawiedliwieni w tym, że znajdują sobie inną, dziwnym trafem młodszą laleczkę, bo nie kobietę, która chętnie słucha opowieści o wzlotach i upadkach twojego w końcu faceta. Ci idioci nie zauważają jednak, że w zdecydowanej większości to, czego pożądają te seksowne blondynki czy cudowne brunetki, to zawartość portfela ich ofiary, bo przecież seks w wykonaniu tych macho, przeżywających kryzys wieku średniego jest także w większości przypadków co najwyżej średni. Znikają równie szybko jak się zjawiły, gdy ten portfel wyraźnie schudnie lub jego właściciel zachoruje na coś bardziej poważnego niż banalne przeziębienie.

– Coś w tym jest. Od dziecka wielu z nas wbija się do głów, że kobieta może spełnić się tylko w małżeństwie i w macierzyństwie, jako naturalnej jego konsekwencji, i że nie istnieje coś takiego jak nasza podmiotowość, o indywidualnej osobowości już nawet nie wspomnę.

– Kogo obchodzi, że moją pasją jest winiarstwo? Ktoś dostrzegł, że mam jakąkolwiek pasję?

– Ja, moja droga Saro, ja.

– Tak, ty. Ty jedna umiesz słuchać i dzielić, choć troszkę, tę moją pasję. To jednak nie jest miłe, kiedy uświadamiasz sobie, że to, co jest twoją pasją, a czasem dziełem twojego życia, nie jest w najmniejszym stopniu ważne dla kogoś, kto kiedyś mówił, że cię kocha. To boli. Ta świadomość, że żal mu odrobiny czasu na refleksję o tobie, twoich sprawach.

– Masz, powtarzam, mnie, a ja dużo się od ciebie nauczyłam. Ekspertem, sommelierem z pewnością nie jestem, ale sporo już chyba dzięki tobie o winie wiem.

– Wyobraź sobie, że mój mąż ma to zdecydowanie gdzieś. Patrzy na mnie jak na potencjalną, a może już rzeczywistą alkoholiczkę, która upija się potajemnie drogimi winami, trwoniąc w ten sposób jego majątek. Jego kompletnie nie interesuje, czego ja pragnę, jakie mam marzenia. My już nawet ze sobą nie sypiamy. Żyjemy pod jednym dachem, ale obok siebie.

– Dlaczego się nie rozwiedziesz?

– Sama to powiedziałaś. Ktoś kiedyś wbił do łba i mnie i temu mojemu Aronowi, że małżeństwo jest święte, że to układ do grobowej deski, a przecież nigdy nie wiesz tak do końca, na co trafisz. To mimo wszystko loteria. Jeśli wyciągniesz zły los, to nie pozostaje ci nic innego jak bezsensownie tkwić w tym niechcianym związku.

– Chcesz mi powiedzieć, niczym Forrest Gump, że życie jest jak pudełko czekoladek, nigdy nie wiesz na co trafisz?

– Żebyś wiedziała.

– To przecież nie wyklucza rozwodu.

– To nie jest też aż tak proste z tego powodu, że i ja, i Aron, jak wiesz, jesteśmy żydami, a to coś dla nas znaczy. Zwłaszcza dla Arona.

– Żydzi nie znają instytucji rozwodu? Przecież nawet katolicy mogą unieważniać swoje śluby zawarte w kościele, o ile tylko zaistnieją ku temu przesłanki przewidziane przez prawo kanoniczne.

– Z nami jest nieco inaczej. U nas rozwód w dużej mierze, by nie powiedzieć, że wyłącznie, zależy od woli męża.

– Jak to?

– Ano, tak właśnie. Księga Powtórzonego Prawa mówi wyraźnie, że gdy mężczyzna wziął żonę i poślubił ja, a ona nie znajduje łaski w jego oczach, bo on – jak napisano – „znalazł kilka nieczystości w niej" – to mąż pisze list rozwodowy. Ten list nazywa się get. Prawo biblijne stanowi, że przekazanie owego listu jest warunkiem koniecznym dla skutecznego i ostatecznego przeprowadzenia rozwodu.

– Nie wystarczy pójść do sądu?

– Do sądu cywilnego? Nie. Bóg stworzył formułę połączenia dusz poprzez ceremonię pod baldachimem, bo małżeństwo, to nie umowa, a zjednoczenie dusz, i tenże Bóg dał wyraźne wskazania, w jaki sposób dusze te można rozdzielić. Niezależnie od procedur cywilnych, niezależnie od tego czy i jak długo para jest w separacji, w świetle prawa żydowskiego bez get są ciągle stuprocentowym małżeństwem.

– A ty, jako kobieta, żona, nie masz prawa sporządzić tego całego get?

– Prawo mówi: „a stało się, że nie znajduje łaski w jego oczach". Dokument więc jest ważny tylko wówczas, gdy pochodzi od męża.

– To wystarczy? Facet siada przy biurku, pisze list rozwodowy i już? Pozamiatane?

– Na szczęście teraz już nie. Kiedyś tak. Dziś nawet samo napisanie get nie jest łatwe. Muszą to zrobić fachowcy. Wiele zwrotów musi być napisanych w języku aramejskim. Cała procedura rozwodowa toczy się przed Beit Din – sądem rabinackim złożonym z trzech rabinów. Wymagana do rozwodu

jest też zgoda żony, ale tak czy inaczej, inicjatywa jest po stronie męża. To on, praktycznie, decyduje o rozwodzie.

– Na całe szczęście statystycznie oni żyją krócej. Masz zatem szansę na to, że przez parę swoich ostatnich lat będziesz żyć jak wolny człowiek.

– Wcześniej jednak, któregoś ranka, tuż po przebudzeniu, zauważysz, że to, co powinno brzmieć jak „kocham cię" zmieniło się w coś zupełnie innego. Słyszysz więc, a i sama też mówisz: „nie teraz", „później", „ty nigdy", zawiodłaś mnie". Nadchodzi czas, kiedy w zakamarkach pamięci nadaremnie zaczynasz szukać, kiedy to ostatni raz usłyszałaś to „kocham cię". Nie to zdawkowe, rzucone mimochodem, wręcz standardowe z gatunku: "kochanie, podaj mi, proszę, sól", ale to ciepłe, intymne „kocham cię".

– Och! Doskonale cię rozumiem. Wiem jak to jest, kiedy znużona wieczną walką o to, by cię nadal akceptował czy pragnął tak jak kiedyś, zamykasz się w sobie, przestajesz na cokolwiek oczekiwać i sama przestajesz też wypowiadać te dwa, kiedyś tak ważne, wręcz najważniejsze, słowa. One znikają z twojego słownika. Może jeszcze zdarzą się krótkie chwile, kiedy chcesz powalczyć czy choćby tylko warknąć w akcie desperackiej rozpaczy, ale później zwyczajnie zaczynasz schodzić z linii strzału, zamykasz się w swoim tajemniczym ogrodzie i nikt prócz ciebie nie wie, gdzie jest klucz do jego furtki.

– No, chyba że się trafi na kogoś takiego jak ty.

– Nawet wówczas nadal jesteś sama w tym swoim bólu, zwątpieniu, załamaniu. Jesteś sama w tym swoim rozchwianym i zmarnowanym życiu.

– O, tak! Udajesz twardą, taką, której nic i nikt nie jest w stanie złamać, a to jedna wielka bzdura. To jest czas, w którym, powtórzę to raz jeszcze, o ile nie znajdziesz sobie przynajmniej powiernicy takiej, jaką dla mnie jesteś ty, na horyzoncie pojawia się alkohol, ta zwodnicza ułuda. Każdy wypity kieliszek to rodzaj żonglerki. Żonglujesz swoim życiem póki nie wyleci ci ono z rąk i nie trzaśnie o podłogę, rozsypując się na miliony kawałków. Nawet nie zauważysz kiedy przekroczysz tę niewidzialną granicę końca człowieczeństwa i początku uzależnienia. Wiem, co mówię. Miałam kogoś takiego w rodzinie.

– Nie boisz się zatem tego twojego zainteresowania winem?

– Trochę, ale jak widzisz potrafię tę bestię trzymać na uwięzi.

– Lekarstwem może też być kochanek.

– Już to sobie chyba wyjaśniłyśmy, że tak ty, jak i ja, nie mamy w sobie aż tyle odwagi. Brak nam tej odwagi nie tylko do poszukania sobie jakiegoś faceta na boku, ale także, by te nasze wzajemne relacje uczynić bardziej intymnymi. Ty i ja. Czy to zawsze musi być facet?

Myślałaś o mnie choć raz w ten sposób? Bo ja o tobie tak. Może warto spróbować i wymienić się, jak to powiedziałaś, kluczami do tych tajemniczych ogrodów, w których spędzamy samotnie całe godziny, doby, przypomnieć sobie, co znaczy być kochaną?

Sara odstawiła kieliszek z niedopitym winem, smukłe dłonie Małgorzaty zamknęła w swoich wypielęgnowanych i równie smukłych, po czym przysunęła twarz

do twarzy przyjaciółki. Gosia poczuła gorący, pachnący wypitym winem oddech Sary, kiedy ta pocałowała ją delikatnie w usta.

Przerażona tym, co się stało i co stać by się jeszcze mogło, Małgorzata zerwała się gwałtownie, przewracając swój kieliszek, który spadłszy na podłogę rozbił się na dziesiątki niebezpiecznie ostrych kawałków i rzuciła się do ucieczki. Sara poderwała się gwałtownie do biegu, chcąc zatrzymać uciekającą w popłochu przyjaciółkę. Jej poranione rozbitym szkłem stopy pozostawiały wyraźne, krwawe ślady na jasnej terakocie tarasu. Małgorzata uciekała jednak zbyt szybko. Kiedy Sara dobiegła do furtki, Gosia znikała już za rogiem ulicy.

Małgorzata doskonale pamiętała tę burzę uczuć, jaka się wówczas w niej rozpętała. Choć nie chciała się do tego sama przed sobą przyznać, to jednak przez następne dni przerażenie walczyło w niej z pociągającą, obiecująco słodką ekscytacją. Nie wiedząc jak się zachować, jak potraktować to odważne wyznanie przyjaciółki, unikała kontaktu z Sarą. Nie wiedziała nie tyle co powinna, ile co chce jej odpowiedzieć. Nie była gotowa ani na zdecydowane odrzucenie tej nieznanej jej dotychczas Sary, ani też na akceptację tego, co zostało tak bezpośrednio wypowiedziane.

Nazajutrz chłopak z sąsiedztwa przyniósł Małgorzacie liścik od jej przyjaciółki.

Gośka. Kochanie (?)

Przepraszam. Przepraszam za to, że cię przestraszyłam moim brakiem rozwagi i opanowania. Nie tego chciałam. Nie chciałam, by między nami pojawiły się jakiekolwiek bariery.

Przepraszam też za to, że nie mogę szczerze przeprosić za to, czego tak bardzo pragnęłam. Obiecuję, że już więcej bez twojej wyraźnej zgody nie postawię cię w takiej sytuacji.

Jeśli jednak uznasz, że nie może między nami być tak jak dawniej, to zachowaj mnie, proszę, w swojej dobrej pamięci.

Sara

Nie zobaczyły się już nigdy. W niespełna miesiąc po ich rozmowie Sara zamknęła się w garażu i uruchomiła silnik swojego Pontiaka. Kiedy Aron, nieco wstawiony wypitym piwem, wrócił z cotygodniowej partii kręgli, jego żona, wolna już od wszelkich niepewności, rozterek i niemożliwych czy trudnych do spełnienia pragnień, nie żyła od trzech godzin.

Spotkanie po latach z Piotrem zdecydowanie otworzyło Małgorzacie oczy na to, jakie życie wiodła do tej pory. Wczorajszy krótki spacer i zakupy w sklepikach Montmartre, późniejsze wspólne przygotowywanie kolacji i wreszcie to, co się po tej kolacji wydarzyło, uzmysłowiło jej, że przez te wszystkie lata bez niego, Piotra, bezsensownie wyrzekała się przyjemności, zwłaszcza tych drobnych, codziennych, które potrafią sprawić, iż życie staje się tak smakowite. Zrozumiała, że nie zawsze małżeństwo musi wcześniej czy później zamienić się w bezuczuciowy związek. Bywa i tak – tego już była pewna, że można po setkach miesięcy wspólnego bycia razem rozumieć słowa nim zostaną wypowiedziane lub zanim przebrzmi ostatnia zgłoska, można mieć pewność, że tam, pod tym szarym, pojawiającym się w naturalny sposób popiołem, jest żar. Wystarczy lekko dmuchnąć, by ponownie wystrzelił płomień. Wtedy to z radością akceptuje się, że wolność to uświadomienie sobie konieczności. Jeśli

jest miłość, to nie ma poczucia ograniczenia wolności, nie ma więc w człowieku ani buntu, ani myśli o nim. Wierzy się, że zmieniając „ja" na „my" zrobiło się milowy krok ku szczęściu. Radość płynie wówczas także i z tego, że ktoś obok ciebie, tak jak ty, sapie z wysiłku, martwi się o ciebie, prosi o pójście do lekarza, gdy tu strzyka, a tam skrzypi. Małgorzata zrozumiała, że do tej pory była niczym bajkowa królewna – spała w jakiejś, wcale nie luksusowej, komnacie czy klatce, pozbawiona świadomości uroków otaczającego ją świata i zapomniała, kim jest w istocie Małgorzata w tym świecie mieszkająca. Przebudzenie było cudowne, choć nie wolne od lęku, że to właśnie teraz rozpoczyna się jakiś sen, że ta niechciana rzeczywistość powróci lada moment.

Odrzuciła ciepłą kołdrę i wstała z łóżka. Lekko zawstydzona tym co robi, stanęła naga przed lustrem. Ujrzała w nim zadbane ciało dojrzałej kobiety. Uznała je za jeszcze dość atrakcyjne.

– No, Gośka, wyglądasz jeszcze całkiem, całkiem, jak na swoje lata. Co prawda skóra nie jest już taka aksamitna jak kiedyś, a piersi nie takie jędrne, trochę ciężkie i przez to już nie tak skore jak kiedyś do walki z prawem grawitacji, to i owo powinnaś i możesz poprawić, ale w sumie nie jest źle – zamruczała.

No i panuj trochę nad sobą.

To już dopowiedziała sobie w myśli. Nie wystarczyło jej bowiem odwagi na to, by wyznać przed sobą samą głośno, czy choćby tylko cichym szeptem, że to, co się z nią działo od tych kilkudziesięciu godzin sprawiało, iż nie tylko czuła się, ale i chciała zachowywać jak zakochana pensjonarka.

– *No właśnie, panuj nad sobą! Dopiero co pochowałaś syna, bezwstydnico!* – Krzyczał w niej jakiś głos. Chciała wierzyć, że odzywa się w niej drugie ja, zdecydowanie bardziej racjonalna Gośka, ale gotowa była też przysiąc na wszystkie świętości, że ta druga, tkwiąca gdzieś w jej głowie kobieta, przemawia do niej głosem Sary. *Czego ty oczekujesz, naiwna idiotko? Ciepła, miłości, tego, że te minione dziesięciolecia nagle przestaną istnieć, że ich nie będzie, że się nie zdarzyły?! A może wierzysz, ot tak, zwyczajnie, że będzie wreszcie i po prostu dobrze? Dobrze to już było! Zapomniałaś?*

– Ale...

– *Jakie ale, jakie ale? Co by powiedział twój kochany synek – Piotruś – widząc jak się nago mizdrzysz przed tym lustrem, więcej – wiedząc, o czym teraz myślisz?!*

– Zamknij się! Piotruś z pewnością byłby zadowolony, widząc mnie szczęśliwą, a ja właśnie teraz tak się czuję. Nigdy dotąd się tak nie czułam. Tak dobrze!

– *Mówię ci, dziewczyno nie szalej. W twoim, naszym wieku, za świeczki płaci się więcej niż za sam tort urodzinowy. Lepiej pomyśl czy i ile czasu pozostało ci w ramach tego naszego kobiecego „best before end...". Patrzysz na swój płaski brzuch? Fakt, płaski, ale nie masz wrażenia, że jest on niczym rodzynka? Może i apetyczny, ale jednak trochę, zwłaszcza jak usiądziesz, pomarszczony, z lekkimi fałdkami i w sumie już martwy. Nie masz wrażenia, że popełniasz jakiś niewybaczalny błąd?*

– Dlaczego mam się bać tego, co się teraz ze mną dzieje? Czemu mam się temu przeciwstawiać czy z tego rezygnować? Jest tak, jakby nagle, kilkadziesiąt godzin temu, tam na schodach do stacji metra „Opera", spotkały się dwie chmury

pełne sprzecznych ładunków i teraz trwa we mnie jakaś opętańcza, ale i zachwycająca burza. Jest mi z tym dobrze i chcę, by to cudowne uczucie trwało! Błędy?! One są, czy będą, moja droga, w tym wypadku piękne i jeśli się pojawią, będą częścią zabawy. Daj mi poczuć, że wreszcie żyję. Póki jeszcze jest to możliwe!

– *Burza? Uważaj, żeby jakiś piorun cię nie trafił.*

– Przymknij się, chcę wreszcie żyć!

Zdjęła z krzesła błękitną koszulę Piotra i włożyła ją na siebie. Poczuła lekki zapach jego potu przytłumiony dość skutecznie oparami wody toaletowej i dezodorantu, jakich używał. Wyraźnie wyczuwała delikatny, aczkolwiek dający się bez problemu zdefiniować, zapach drewna sandałowego pomieszany z tchnieniem rozgrzanego, jodłowego lasu i nutą woni tytoniowych. Gdzieś na obrzeżach tego zapachu snuły się aromaty kminku i pąków goździka. Wtuliła twarz w koszulę, wciągnęła głębiej powietrze, odnajdując ledwo wyczuwalną woń mandarynek, może pomarańczy. Ten zapach miał w sobie coś magicznego. Dawał poczucie bezpieczeństwa, luksusu. Przez moment miała wrażenie, graniczące z trudną do wytłumaczenia pewnością, że ten zapach został stworzony właśnie dla Piotra, że ten jeden, jedyny mężczyzna, przywdziewając go na siebie otula się rozlicznymi wspomnieniami. Podpatrzyła wczoraj z jaką czułością, przeglądając jakieś szpargały, brał do ręki stary, bajecznie kolorowy banknot o nominale dwustu franków. Jego wzrok, kiedy patrzył na ten, mający już tylko sentymentalną wartość pieniądz, zawierał w sobie niewypowiedzianą tęsknotę za tym, co minione, za pięknem dnia wczorajszego

i nadzieję, że w jego życiu wydarzy się jeszcze wiele przygód niezwykłych. Niewątpliwie zapach, którym przesiąknięta była jego koszula opowiadał o minionych egzotycznych podróżach i jednocześnie musiał budzić w Piotrze nieodparte pragnienie dalszego podróżowania. Chciała, by tak właśnie było, i by Piotr pragnął podróżować przez resztę życia; podróżować tylko z nią. Nie oczekiwała, że niczym bohaterowie powieści czytanej w dzieciństwie ruszą w podróż dookoła świata, choć i na to była prawie gotowa, pamiętając o tym, że na cmentarzu Montparnasse jest grób jej ukochanego syna. Pragnęła, by była to najpiękniejsza ze wszystkich podróży, niezależnie od przestrzeni, które się faktycznie przebywa lub nie. Nie znalazła jednak jeszcze w sobie dość odwagi, by sobie samej, nawet nie półgłosem, a tylko w myślach, dopowiedzieć, że chce, by to była ich wspólna podróż aż po kres życia. Mimo to, a może właśnie dlatego, ta druga, racjonalna Małgorzata, czy raczej Sara, z którą tak się w myślach przed chwilą wykłócała, musiała zrezygnować, odejść.

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem – powtarzała sobie w myślach. Nie wiem czy go kocham.

– *Łżesz Gośka, łżesz!*

– Nie wiem, może i kłamię. Chyba jednak pragnę z nim być, a jeśli tak, to cała reszta nie ma żadnego znaczenia. Nie chcę się znów obudzić obolała i samotna. Mam tyle lat ile mam i nie mam już czasu na rozczarowania czy zwątpienia.

– *Może to nie miłość? Może tylko strach przed samotnością? Przecież w twoim, naszym wieku, życie niczego już nie daje, co najwyżej odbiera.*